

## **PO UPADKU STARÓWKI**

Moja relacja przedstawia zdarzenia z dnia 2 września 1944 po likwidacji szpitala przy ul. Długiej 7 i jest dalszym ciągiem wspomnień spisanych przez sanitariuszkę Barbarę Gancarczyk, z którą razem pozostałam na Starym Mieście, aby zaopiekować się ciężko rannymi kolegami z naszego batalionu.

Stoimy z Basią na podwórzu szpitala przy ul. Długiej 7. Z rozpaczą wpatrujemy się w okna pierwszego piętra, za którymi znajdują się trzej nasi koledzy. Słychać pojedyncze strzały rewolwerowe. Podoficer Wehrmachtu, którego błagałyśmy o pomoc, idzie właśnie ku nam przez podwórze. Unikając naszego wzroku mówi cicho:

- Niestety, tam nie ma po co iść. Jest już za późno ...

A więc nie żyją. Nogi uginają się pode mną. Siadam na najbliższym odłamie gruzu i zdaje mi się, że spadam w czarną przepaść.

Po chwili zawrót głowy mija. Dostrzegam obok siebie Basię, która stoi wciąż wpatrzona w okna sali na pierwszym piętrze. Na jej brudnej, osmolonej twarzy łzy wymywają dwie jasne bruzdy.

Spośród niemieckich żołnierzy wyłania się ojciec Tomasz Rostworowski. Podnosi drżące ręce, czyniąc znak krzyża, udziela absencji umierającym. Podbiegamy do niego i z płaczem chwytamy za ręce, szukając ratunku i pociechy.

Ojciec Tomasz jest blady jak płótno, drży cały, oczy ma także pełne łez.

- To straszne, to potworne - powtarza ciągle.

Nie ma sensu pozostawać tu dłużej. Bierzymy ojca Tomasza pod ręce i szlochając opuszczamy teren szpitala. Wychodzimy na ul. Podwale. Ojciec Tomasz, Basia i ja byliśmy zapewne ostatnimi Polakami, którzy żywi opuścili szpital przy ul. Długiej 7.

Szliśmy teraz wolno obok siebie, w całkowitym milczeniu. Na ul. Podwale nie było już niemieckich żołnierzy ani mieszkańców Starówki opuszczających z tobołkami swoje domy. Jedyne przy zbiegu z ulicą Kilińskiego wlokło się ostatkiem sił na kolanach, na czworakach, jak który mógł, kilkunastu rannych. Byłam tak zaszokowana i otępiała, że nie przyszło mi do głowy, aby któremuś z nich przyjść z pomocą. Zresztą po co? Każdego, tak czy inaczej, dosięgnie niemiecka kula.

Cały czas usiłowałam wyobrazić sobie, jak było tam, na pierwszym piętrze, co stało się z naszymi kolegami: „Stasiukiem”, „Robertem” i „Klecha”? Zginęli od razu, czy może ranni jeszcze raz, konają teraz w męce. Nie mogłam darować sobie, że nie było nas przy nich w tym tragicznym momencie. Ratowałyśmy chłopców od „Gustawa” nie wiedząc przecież, że Niemcy przystąpili do likwidacji szpitala na Długiej 7.

Pierwszy ocknął się z odrętwienia ojciec Tomasz. Widząc wyciągnięte w błagalnym geście ręce, pospieszył z pomocą ranemu.

W tej samej niemal chwili z jakiejś bramy przy ul. Podwale wybiegł starszy mężczyzna, niosąc na rękach kilkunastoletnią dziewczynę. Ranna, owinięta tylko w prześcieradło, miała na piersiach zakrwawiony opatrunek. Mężczyzna, zapewne ojciec, dźwigał ją z wielkim wysiłkiem, wreszcie posadził na kupie gruzu, rozglądając się wokół z rozpaczą. Basia podbiegła do nich, a ja wciąż stałam na środku jezdni, nie mogąc podjąć żadnej decyzji. Po chwili wolno podążyłam za nimi. Uszłam za ledwie parę metrów, kiedy w bramie domu ukazała się kobieta z małą trzy-czteroletnią dziewczynką na rękach. Dopadła do mnie i wpychając mi dziecko w ręce zawołała: - Niech pani idzie z nią na Plac Zamkowy. Ja was dogonię - po czym szybko zawróciła do mieszkania.

Stałam zaskoczona, trzymając dziewczynkę w wyciągniętych rękach. Podniosłam ją do góry i dopiero wtedy zauważyłam, że

mała ma amputowaną rączkę. Patrzyłam z przerażeniem na czerwono-fioletowy świeżo zagojony kikut i odruchowo przytuliłam dziecko do siebie. Mała objęła mnie za szyję i powędrowałyśmy dalej.

Na pytania: - Czy to była twoja mama? Jak się nazywasz? - dziewczynka w ogóle nie reagowała. Mocno przytulona do mnie, patrzyła wokoło przerażonymi oczyma, nie wykonując najmniejszego ruchu.

Znowu wróciłam myślami do naszych kolegów i do rannych harcerzy od „Gustawa”, których pozostawiłyśmy na podwórzu oraz w bramie Kilińskiego 1. Wiedziałam już jaki los ich spotka. Czy któryś zdoła się uratować? Wszyscy przecież byli ciężko ranni i nie mogli poruszać się o własnych siłach.

Pograżona w myślach, nawet nie zauważyłam, że zbliżyłyśmy się do sporej kolumny ludności cywilnej, którą Niemcy prowadzili Podwalem na Plac Zamkowy. Wtem moją uwagę zwrócił jakiś dziwny ruch pomiędzy uchodźcami. Dwóch mężczyzn idących z tyłu, rzuciło się pospiesznie ku przodowi i znikło pośród kobiet, mimo że jeden z nich był bardzo wysoki. Spojrzałam w lewo i od razu wszystko stało się jasne - u wylotu poprzecznej ulicy stało dwóch młodych Niemców. Spocone, czerwone twarze, hełmy głęboko nasunięte na oczy, w rękach pistolety maszynowe. Z głębi ulicy zbliżał się trzeci, a dalej, pod ścianami domów - trupy. To ci, którzy nie nadażali w marszu - ci, którzy wyglądali na powstańców, znaleźli śmierć z ręki niemieckich oprawców.

Wyszłyśmy wreszcie na Plac Zamkowy, Po lewej stronie zwalowej Kolumny Zygmunta stał ogromny tłum, a dookoła uganiało kilkunastu Niemców i Własowców.

Staliśmy ciasno stłoczeni w szeregach, czekając aż Niemcy uformują oddziały do dalszego marszu. Grupy te kierowali w ulicę Mariensztat. W pewnym momencie przez szeregi popłynął szept: - Złoto, chowajcie złoto! Zabierają!

Słowa te wydały mi się profanacją. Złoto! Cóż warte jest złoto wobec tego, co stało się na Długiej 7, co działo się na każdej uliczce Starego Miasta? Jak ci ludzie mogą w takiej chwili myśleć o złocie?

Poczułam się obca i całkowicie samotna wśród tego tłumu. Gdzie podziała się Basia i ojciec Rostworowski? Przecież szli zaraz za mną dźwigając rannych. A co pocznę z tą malutką dziewczynką? Jak odnaleźć jej matkę?

Cofnęłam się i zaczęłam przeciskać się przez szeregi, rozglądając się na wszystkie strony i jednocześnie obserwując Niemców, czy aby nie widzą zamieszania, jakie wywołuję. Niestety, Basi nie było nigdzie, natomiast wysoka, ciemnowłosa kobieta zabrała ode mnie dziewczynkę. Mała wyciągnęła do niej zdrową rączkę, więc zapewne był to ktoś z jej rodziny.

Zadowolona, że odzyskałam swobodę działania, tym energiczniej przesuwalam się wśród tłumu, lecz Basi nie mogłam dostrzec.

A co stało się z Wisią i „Ikarem”? Przecież „Ikar” ranny w obie nogi, oparty jedną ręką o Wisię, a drugą opierający się na szczotce do zamiatania, na pewno daleko nie zaszedł. Przesunęłam się na czoło kolumny i już po chwili maszerowałam opadającą ku Wiśle ulicą Mariensztat.

Na skarpie, pod murem Kościoła św. Anny, na krawężniku ulicy, pojedynczo i grupami siedzieli ranni. Całkowicie wyczerpani długotrwałym przebywaniem w piwnicach, głodni, po wyjściu na powietrze szybko stracili niewielki zapas sił. Kompletnie zrezygnowani, nie próbowali nawet prosić o pomoc.

Wisię i „Ikara” zobaczyłam już z daleka. Siedzieli po lewej stronie ulicy, na gruzach jakiegoś rozwalonego domku czy budki, w miejscu gdzie Mariensztat zatacza łuk w prawo. Usiadłam koło nich i po chwili milczenia opowiedziałam w kilku słowach, co zaszło w szpitalu po ich wyjściu. Spojrzawszy na „Ikara”

zorientowałam się od razu, że osłabł całkowicie i o dalszym samodzielnym marszu nie ma mowy.

Podniosłam głowę i na wprost, na górze, dostrzegłam kilku Niemców, jak z pistoletami w rękach i miotaczem płomieni szybko zmierzali ku grupie rannych. Zerwałam się wołając:

- Musimy iść, natychmiast musimy iść!

„Ikar” zerwał się również, chwycił szczotkę jak szczudło, drugą ręką oparł się o Wisię, zrobił kilka kroków- i stanął. Błady, z twarzą skurczoną bólem, wyszeptał:

- Nie pójdę dalej. Nie mogę.

Rozejrzałam się wokół bezradnie. Żeby jakieś nosze albo chociaż kij. Z białego kitla, w który byłam ubrana, szczotki i kija można by zrobić prymitywne nosze. Ale skąd wziąć kij? Zaczęłam penetrować rumowisko, lecz wszystko było dokładnie pogruhotane. Popatrzyłam znowu ku górze i widok płomieni zdopinguował mnie do szybkiego działania.

- Jurek, wezmę cię „na barana”, nie ma innego wyjścia. - „Ikar” patrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Ależ, Janeczko, nie dasz rady.

- Co mam nie dać rady. Jestem silna - mówiłam głosem szorstkim i rozkazującym, co mnie samą miało utwierdzić w przekonaniu, że zadanie jest dziecinnie łatwe. Chwyciłam *Ikara* za ręce i usiłowałam zarzucić na plecy, a Wisia z całej siły pchała go do góry. Kiedy jednak chciałam podtrzymać go za obandażowane uda „Ikar” jęknął. Trzymając go za ręce zrobiłam kilka kroków. Nogi „Ikara” wlokły się po bruku, a ja zgięta w pół, nie mogłam chwycić oddechu,

- Nie, nic z tego nie wyjdzie. W ten sposób daleko nie zajdziemy. Muszę cię trzymać za nogi, chociaż będzie bolało. Musimy natychmiast stąd iść.

„Ikar” już nie protestował. Objął mnie za szyję, ja rękami

chwyciłam go za uda i wolniutko ruszyliśmy naprzód. Te pierwsze kroki były bardzo ciężkie. Nie mogłam złapać rytmicznego oddechu, dusiłam się. Stopniowo jednak szło mi się coraz lepiej. Mimo ogromnego ciężaru, pewnie posuwałam się dalej. Tak dobrnęliśmy do ulicy Bednarskiej, która stromo pięła się do Krakowskiego Przedmieścia.

Krótki odpoczynek i dysząc jak miech kowalski, zaczęłam pokonywać wzniesienie. Szłam zakosami, od krawężnika do krawężnika, zawadzając o ludzi, którzy żółwim tempem sunęli ulicą. Jurek zsuwał mi się z ramion i dusił mi szyję, słońce prażyło niemiłosiernie, pot zalewał oczy. W połowie ulicy dostrzegłam panią Faryaszewską, jak utykając, z zabandażowaną, nogą, przygarbiona, z chlebakiem przewieszonym przez ramię, z wielkim wysiłkiem szła pod górę. Wreszcie koniec męczarni - dobrnęliśmy do Krakowskiego Przedmieścia. Jeszcze kawałek drogi, ale już po równym asfalcie i z wielką ulgą posadziłam „Ikarę” na krawężniku, za pomnikiem Mickiewicza, a sama oparłam się o ogrodzenie, aby wydyszeć zmęczenie,

Na tyłach pomnika i na placyku przed kościołem Karmelitów było pełno ludzi, a z dołu ciągle jeszcze przybywali nowi ludzie. Grupa Kałmuków z wycelowanymi w nas karabinami ustawiła się w szeregu naprzeciw nas. Niemcy kręcili się nerwowo, formowali niewielkie kolumny i pod ich osłoną (był ostrzał powstańczy) przechodzili Krakowskie Przedmieście, kierując się na Plac Saski. Z Klasztoru Karmelitów, który był zamieniony na szpital, wyszły dwie pielęgniarki. Przeciskając się wśród tłumy informowały, że ranni oraz osoby, którym brak sił uniemożliwia dalszy marsz, mogą pozostać w szpitalu.

- Chcesz zostać? - zapytałam Jurka, „Ikarę” nie odpowiadał, ale przecież w tej chwili znów pomyśleliśmy o szpitalu na Długiej 7. Nie wierzyłam już nikomu.

- Jeżeli chcesz iść z nami, to ja jeszcze mam siły, poniosę cię. - „Ikarę” ucieszył się. - Oczywiście, ja z wami.

Czekałam dłuższy czas, by nabrać sił, wreszcie przy pomocy Wisi załadowałam Jurka na plecy i samotnie, tylko we troje, poszliśmy dalej. Na Placu Saskim kręciło się wielu Niemców, ale nikt nas nie zaczepił. Weszliśmy do Ogrodu Saskiego. Zieleń drzew i trawy, cisza, ani jednego człowieka w zasięgu wzroku - to miejsce wydało mi się oazą spokoju. Jak dobrze było iść alejką w cieniu drzew, wdychając świeże, czyste powietrze.

Właśnie rozglądałam się, gdzie by tu zatrzymać się na odpoczynek, kiedy za zakrętem ścieżki ujrzałam grupę niemieckich oficerów. Stali na trawniku po lewej stronie alejki, którą w pewnej odległości przed nami, trzymając się pod ręce, dreptało troje staruszków. Były to dwie staruszcзки w długich, czarnych sukniach, a między nimi staruszek, którego białe włosy świeciły z daleka jasną plamą.

Kiedy staruszkowie zbliżyli się do oficerów, jeden z nich podszedł do nich i rozkładając szeroko ręce zaczął spychać ich na trawnik. Patrzyłam zaintrygowana, staruszkowie również nie wiedzieli, o co Niemcowi chodzi. Zbili się w gromadkę, dreptali w miejscu, wreszcie jednak usunęli się na prawą stronę alejki. Oficer wyciągnął rewolwer i po chwili trzy ciała osunęły się na trawnik. Żadnego krzyku czy jęku - tylko trzy suche strzały. Niemiec obrócił się teraz w naszą stronę, wciąż trzymając rewolwer i lekko nim kołysząc - patrzył na nas.

Poczułam, że cała krew odpływa mi z serca, nie mogłam odebrać nóg od ziemi. Czy to koniec?

Nie było czasu na rozumowanie. Zadziałał instynkt. Zebrałam siły, podrzuciłam Jurka do góry na ramiona i maszerując jak na paradzie, zbliżyłam się do Niemców, demonstrując swoje możliwości. Oficerowie z lewej strony alejki wszyscy odwrócili się ku nam, mówiąc coś głośno między sobą i pokrzykując do oficera-mordercy, który, ciągle jeszcze z rewolwerem w dłoni, stał po prawej stronie dróżki czekając na nas. Kołysząc z uznaniem

głową zawołał coś do mnie. Ze zdenerwowania i wysiłku nie rozumiałam ani słowa. Kiedy zrównałam się z nim, zaczęłam głośno mówić do „Ikara”, coś zupełnie bez sensu, chcąc tylko pokazać, że się nie boimy.

Mijając Niemca myślałam szybko: strzeli - czy nie? Zabije nas oboje - czy tylko „Ikara”? Czułam dosłownie każdy milimetr skóry na plecach, oczekując w napięciu, kiedy padną strzały.

Wciąż pewnym krokiem oddalaliśmy się od Niemców. Nikt nie strzelał. Wreszcie zasłoniły nas drzewa. Poczułam straszne zmęczenie. Powinnam posadzić Jurka i odpocząć, ale obawiałam się, że znowu natkniemy się na Niemców.

Zbliżaliśmy się do bramy ogrodu, od strony Żelaznej Bramy. Przed bramą znów zauważyłam hitlerowców - tym razem żołnierzy. Obserwowałam ich pilnie, gdyż spostrzegłszy nas obrócili się z zainteresowaniem w naszą stronę, a jeden z nich zaczął wykonywać jakieś podejrzane ruchy. Po chwili dojrzałam, że żołnierz wyciągnął aparat fotograficzny i pochylony czekał, aż „wejdziemy” mu w obiektyw. Potem jeszcze zdjęcie z profilu - i wyszliśmy na ulicę Elektorálną.

Całą jezdnię zajmował gęsty tłum. Patrzyłam przerażona. Jak tu iść w tej ciżbie? Jurek zawadzał nogami o najbliższej idących, wlekliśmy się ślimaczym tempem - nie było żadnej możliwości wypoczynku, a ja przecież niosłam „Ikara” bez zatrzymywania się aż od kościoła Karmelitów.

Popuchnięte dłonie otwierają się bez mojej woli. Zgięte w łokciach ręce - prostują się. Przeworsowane mięśnie odmawiają mi posłuszeństwa. Jurek, aby nie zsunąć się na ziemię, kurczowo zaciska mi ręce na szyi. Chwilami chyba traci przytomność z bólu i upału, gdyż jego głowa opada bezwładnie. Proszę Wisię, żeby podtrzymywała go od tyłu, zawijam kitel usiłując w ten sposób odciążyć ręce, ale to wszystko nic nie pomaga. Powinnam odpocząć, za wszelką cenę odpocząć.



Co chwila kolumna zatrzymuje się, potem pełznie powolutku naprzód. Idę ze zwieszoną głową, z wielkim wysiłkiem, ale mimo to nieustannie obserwuję Niemców, którzy nas eskortują, żeby w razie czego odpowiednio zadziałać.

Słowo „Fraulein”, wypowiedziane tuż za mną, działa jak wystrzał. Odwracam się natychmiast i widzę obok siebie starszego Niemca. Przygląda mi się badawczo i pyta: - Kim jest dla pani ten młody człowiek, którego pani niesie? - Zaskoczona zwlekam z odpowiedzią, więc Niemiec pyta dalej: - Czy to pani narzeczony, może ktoś z rodziny? - Nie, to mój kolega - odpowiadam.

- Ach tak, kolega - powtarza i zostaje w tłumie.

- Filozof, cholera! - klnę półgłosem, podenerwowana niespodziewanym zajściem, ale przecież w oczach tego człowieka, oprócz zwykłej ciekawości, dostrzegłam szczere współczucie.

Ulica Chłodna. Tu utknęliśmy na dobre w zwartym tłumie, przez który usiłują przecisnąć się ciężarówki. Na dwóch samochodach widzę sanitariuszki z opaskami Czerwonego Krzyża. Staram dowiedzieć się od nich, dokąd nas prowadzą, ale nie słyszemy się wzajemnie wśród warkotu silników i hałasu.

Niemcy dosłownie szaleją, usiłując za wszelką cenę oswozić środek jezdnii i zlikwidować zator. Zatrzymujemy się wreszcie na Chłodnej przed kościołem Św. Karola Boromeusza. Zsuwam Jurka z pleców i tak stoimy przez dłuższą chwilę we trójkę, opierając się wzajemnie o siebie i podtrzymując ranne-go.

Niemcy kierują teraz ludzi na teren kościoła. Wszystko to zaczyna mi się nie podobać. Jakieś przeczucie mówi mi, żeby skorzystać z okazji i dołączyć do kolumny, która szybko maszeruje naprzód. Stopniowo robi się coraz luźniej. Przesuwam się teraz na lewą stronę, gdyż w ten sposób nie zawadzam nogami Jurka o sąsiadów z szeregu.

Tempo marszu słabnie, idziemy coraz wolniej, wreszcie nad-

chodzi chwila upragnionego odpoczynku.

Ludzie siadają na jezdni i na krawężnikach. Ja także sadzam Jurka na ziemi i obróciwszy się ku tyłowi obserwuję miasto. Wokół widzę tylko ruiny i zgliszcza. Nie przetrwał ani jeden dom. W górę wzbija się eskadra samolotów, zatacza efektowny łuk i błyszcząc w słońcu pikuje nad zasnutym dymami miastem. Detonacji nie słychać. Gdzie to może być? - zastanawiam się. Nagłe przeraźliwe wycie podrywa wiele osób na nogi. Niemcy śmieją się.

To „szafy” - już dla nas niegroźne - z szumem i piekielnym zgrzytem strzelają gdzieś w ruinach. Dopiero teraz, patrząc z perspektywy czasu, zdaję sobie sprawę, że Warszawa przestała istnieć. Staram się utrwalić sobie ten obraz, gdyż wiem, że nawet jeżeli tu jeszcze wrócę, to nigdy już nie zobaczę Warszawy z czasów mojej młodości, mojego drogiego, rodzinnego miasta. Tyle ofiar, tyle krwi, cierpień i bólu, ci wynędzniali ludzie z resztkami dobytku na plecach, zburzone miasto - oto rezultat naszej walki.

Z ciężkim sercem, z oczami pełnymi łez ruszam dalej. Idziemy w milczeniu, co najwyżej od czasu do czasu wołam do Jurka, który słabnie i osuwając się dławi mnie rękami za gardło, żeby opierał się o moje ramiona. I on, i ja jesteśmy już strasznie wyczerpani. Na domiar złego - ten potworny upał. Gardło mam kompletnie wysuszone, pokryte jakimś gorzkim nalotem, język jak kawał drewna, usta zeschnięte i popękane.

Obok nas idzie kobieta z małym chłopcem. Na plecach dźwiga duży tobiół, a drugą ręką ciągnie za sobą dziecko. Chłopiec ubrany w ciepłe palto, zmęczony i spocony, potyka się co chwila i bezustannie jęczy:

- Pić, mammo, pić!

- Żeby choć szklanek wody - wzdycha kobieta.

- Poszłabym do Niemców po wodę, ale nie mam żadnego naczynia

- mówię.

- Ja mam litrową butelkę w tłumoku - mówi kobieta.

Na najbliższym postoju biegnę po wodę. Wzdłuż całej Chłodnej, przed bramami wypalonych lub zrujnowanych domów, siedzą Niemcy. Powynosili fotele, kanapy i stoły. Siedzą rozparci, popijając oranżadę, palą papierosy i obserwują tłum, pilnując, by komuś nie przyszło do głowy ukryć się w ruinach. Korowód nieszczęśliwych, częstokroć rannych ludzi, wypędzanych z własnego miasta, pozostawiających za sobą trupy najbliższych i spalone domy - nie wywołuje u nich żadnego współczucia. Przeciwnie, śmieją się i dowcipkując wskazują rękami niektóre osoby z szeregu. Widok nieszczęścia spowszedniał im już.

Kiedy zwracam się z prośbą o wodę, żołnierze zaczynają żartować i pytają, kto mi podbił oczy, proponują, żebym z nimi została. Jeden z nich bierze jednak butelkę i niknie w bramie. Denerwuję się bardzo, bo kolumna zaraz może ruszyć dalej i co wówczas będzie z Jurkiem? Obejrzałam się nerwowo za siebie, machnęłam ręką i złota bransoletka, którą dano mi w domu „na wszelki wypadek”, zsunęła się na przegub ręki. Jeden z Niemców dostrzegł ją i chwyciwszy mnie za rękę, ciągnie do siebie. Opór nic tu nie pomoże, udaję, że idę potulnie za nim, śmieję się nawet, aż jednym nagłym szarpnięciem uwalniam dłoń. Właśnie w bramie ukazuje się żołnierz z pełną butelką, chwytam ją w locie i wybiegam na ulicę. Niemcy wybuchają śmiechem szydząc z kolegi, ale ja już jestem daleko.

Tu zewsząd wyciąga się do mnie kilkadziesiąt rąk. - Wody, wody! Chociaż łyczek!

Przytulam butelkę do siebie i opędzając się docieram do swoich. Najpierw pije chłopiec, potem Jurek, Wisia, kobieta i wreszcie ja. Trzymam butelkę do góry dnem i łapczywie zlizuję każdą kroplę. Tylko w takiej chwili jak ta można ocenić, czym jest woda.

Znowu maszerujemy naprzód. Obok nas często przebiega młody, wysoki Niemiec. Jest to zapewne czeski volksdeutsch, bo ciągle coś mówi do idących zabawnym dialektem, mieszając słowa niemieckie i czeskie. Właśnie zrównał się ze mną i mówi:

- Ja ciebie obserwuję już dłuższy czas. Ależ ty masz siłę! Taki kawał drogi niesiesz tego rannego. Na pewno jesteś sportsmenką!

- Nie, nie jestem sportsmenką, w czasie wojny nie miałam możliwości uprawiania sportu, ale w szkole miałam niezłe wyniki. - Podtrzymuję rozmowę, mimo że mnie ona bardzo męczy,

- Szkoda, wielka szkoda, bo z taką siłą i wytrwałością na pewno znalazłabyś się na olimpiadzie.

Nagle z tylnych szeregów dochodzą nas jakieś rozpaczliwe kobiece krzyki.

Domyślamy się, co oznaczają te krzyki i wołania o ratunek. Wisia chwyciła mnie pod rękę pozorując, że pomaga nieść rannego i z przerażeniem ogląda się do tyłu.

- Co tam się dzieje? - pytam Niemca. - Ach, to ci przekłęci „Russen”. Nie bójcie się, jak ja tu jestem, to oni się nie zbliżą. Teraz muszę iść do przodu, ale uważajcie i w razie czego - uciekajcie do mnie.

No tak - łatwo powiedzieć „uciekajcie”. Krzyki na szczęście cichną i w milczeniu ludzie brną dalej.

Jestem już tak zmęczona, że przestaję zwracać uwagę na cokolwiek. Nie obserwuję ani Niemców, ani sąsiadów, nie patrzę na mijane ruiny i ulice. To przecież już Wolska. Toczę teraz walkę z własną słabością. Wytrwać, za wszelką cenę wytrwać. Niosłam go taki kawał drogi, nie zostawię teraz na pastwę mordercom. Siły opuszczają mnie gwałtownie. Rozglądam się rozpaczliwie po idących obok mnie, ale nie ma się co ludzić. Nikt nam nie pomoże. Ci ludzie sami wloką się resztkami sił. Mimo, że kolumna maszeruje dalej, przystaję, aby odpocząć. Sadzam

Jurka na krawężniku, a sama obserwuję idących.

Nagle dostrzegam wózek, prawdziwy wózek na dwóch kołach, pełen rannych, który popycha za dyszel krępy, atletycznie zbudowany mężczyzna. Wózek toczy się środkiem tłumu, za nim tworzy się pusta przestrzeń. Z szeregu wyrywa się malutka staruszczyzna, z wysiłkiem dogania jadących i błaga:

- Zabierzcie mnie, nie mogę iść! - Siedzący na wózku ranni, stłoczeni wprost jeden na drugim, nie odpowiadają, odwracają głowy, zdawałoby się, że nie dostrzegli starowinki. Wobec ich oporu staruszczyzna usiłuje zatrzymać mężczyznę. Wózek oddala się, a ona pozostaje na środku jezdni z wyciągniętą ręką, mijana obojętnie przez idących.

- Jej nie wzięli, ale Jurka muszą wziąć - mówię głośno do siebie. Chwytam rannego na plecy i najszybciej jak tylko mogę, zbliżam się do wózka. Już zrównałam się z mężczyzną, teraz podchodzę do jadących.

- Posuńcie się! Weźcie go chociaż na parę minut. Ja muszę odpocząć!

Chłopcy nie odzywają się, ale ja nie ustępuję, idąc wciąż obok nich. No posuńcie się przecież! - woła wreszcie któryś z nich. Nie czekam, co powiedzą inni i ładuję Jurka na wózek. Tak, to był ostami moment, nogi chwieją się pode mną, w oczach migają czarne koła. Kurczowo trzymam się desek, żeby nie upaść. Powoli kryzys mija i razem z mężczyzną i Wisią toczymy wehikuł z rannymi.

Skręcamy w boczną ulicę. Wózek zatacza szeroki łuk i staje na środku zakrętu. Ulica wybrukowana jest „kocimi łbami”, tu nasze siły nie wystarczają, tym bardziej, że znika mężczyzna, który z takim poświęceniem ciągnął rannych przez całą drogę.

Stoimy bezradnie, próbując zatrzymać mijających nas ludzi, ale nikt nie słucha naszych prośb. Omijają nas z daleka, nawet nie patrząc na wózek z rannymi. Dostrzegł nas natomiast któryś

z Niemców. Pędzi w naszym kierunku wrzeszcząc z daleka:

- Dlaczego stoicie na środku? Dlaczego tamujecie ruch? - Wskazuję ręką na kamienie i mówię: - Nie damy rady, nie mamy tyle sił.

Niemiec robi się purpurowy z wściekłości. - To świństwo! To świństwo, żeby dwie dziewczyny pchały tylu rannych! Gdzie są mężczyźni?

Właśnie mija nas chyłkiem jakiś jegomość z wielkim tobołem na plecach. Niemiec przyskakuje do niego, zrywa mu toboł z pleców, odrzuca na pobocze, a właściciela pchnięciem w kark kieruje do dyszla. Momentalnie mamy kilku pomocników i prawie bez naszej pomocy ranni jada dalej.

Tu miasto się kończy. Domy są coraz rzadsze, bruk urywa się i koła wózka grzęzną w głębokim piachu. Jazda skończona.

Ranni gramolą się, jak który może, ja znowu biorę Jurka „na barana” i maszerujemy teraz polną drogą. Ludzie idą luźnym szeregiem. Niemców straciłam z oczu. Dochodzimy do pola pomidorów. Przy drodze krzaczki są zupełnie zdeptane, ale dalej może jeszcze coś się znajdzie? Sadzam Jurka na piasku i biegnę wraz z kilkoma innymi osobami. Udało mi się zerwać parę małych, zielonych pomidorków, które żuję łapczywie, wysysając sok. Nagle za nami rozlegają się krzyki: - Wracajcie. Niemcy strzelają!

Biorę „Ikara” na plecy i maszerujemy teraz w kierunku wagonów kolejowych, które stoją na torach w szczerym polu. Właśnie przed chwilą odjechał pociąg, więc ludzi zbiera się niewiele. Sami z ulgą wsiadają do przedpotopowych wagonów i rozkładają się na ławkach.

Wsadzenie Jurka do wagonu sprawia nam wiele kłopotu, gdyż nasyp jest wprawdzie niewysoki, ale nie ma rampy. Po wielu wysiłkach wdrapujemy się nareszcie, układamy „Ikara” na ławce, Wisia lokuje się obok niego, a ja siadam na stopniach wejścia

i obserwuję napływających ludzi. Może dojrzę wśród nich Basię lub Ojca Rostworowskiego?

Dzień ma się ku końcowi. Słońce zaszło właśnie, a nad rozciągającymi się przede mną łąkami tworzy się opar. Widok ten działa kojąco.. Tak tu cicho i spokojnie. Powoli uspokajam się i wyczywam.

Zapada zmrok. Trzeba wracać do wagonu, bo jest coraz chłodniej. Przedziały zapełniły się już. Jurek musiał się podnieść, siadam więc koło niego i przytulamy się we troje do siebie, bo wstrząsają nami dreszcze.

Wszyscy jesteśmy bardzo lekko ubrani. Ja mam na sobie męską koszulę ze Stawek i spódnicę Basi z wielką dziurą nad kolanem, krótki biały kitel, na gołych nogach półbuty mocno „sfatygowane” chodzeniem po gruzach. Z żalem wspominam moją „panterkę”, którą przed wejściem Niemców na Stare Miasto wyrzuciłam w gruzy. Taka była ciepła i wygodna! Można w niej było spać na gołych kamieniach.

Zjawiają się Niemcy i kolejarze. Pociąg rusza. Podróż trwa długo. Zatrzymujemy się kilka razy w polu, wreszcie wysiadamy. W ciemnościach z trudem rozróżniamy kontury jakichś wielkich hal fabrycznych. Stoimy koło płotu, nie wiedząc co ze sobą począć. Zjawiają się miejscowi młodzi ludzie, którzy objaśniają nam, że jesteśmy w Pruszkowie, na terenie obozu przejściowego, mieszczącego się w halach warsztatów kolejowych. Rannych podwozi wóz konny, ale właśnie niedawno odjechał.

Po raz ostatni biorę Jurka „na barana” i idziemy przed siebie. Dostrzegam szeroko otwarte wejście do jakiegoś budynku, więc bez namysłu wchodzę do środka. W pomieszczeniu panują ciemności i przejmujący chłód. Wydaje się zupełnie puste. Ktoś zapala ogarek świecy, inny zapałkę i w tym nikłym świetle dostrzegam pod ścianami skulone postacie. Odnajdujemy p. Faryaszewską, rannego kolegę Jurka - Leszka (który jechał na wózku) i wszyscy razem przysiadamy pod ścianą.

Po chwili zęby zaczynają nam szczekać z zimna i zmęczenia. Ciało ogarnia lodowaty chłód. Jak przetrwać tę noc?

Przypominam sobie, że przy wejściu do hali leżały płyty wiórowe. Zawsze lepsze to niż wilgotny beton. Idziemy z Wisią na poszukiwania. Dźwigamy właśnie płytę „na posłanie”, gdy nagle wysuwa mi się ona z przemęczonych rąk. Z głośnym okrzykiem i śmiechem odskakuję do tyłu, aby nie spadła mi na nogi. W tej chwili słyszę za sobą okrzyk radości. Ktoś zarzuca mi ręce na szyję.

To Basia! Nareszcie znalazłyśmy się. Całujemy się i cieszymy niezmiernie. O ile łatwiej znosić niedolę wraz z przyjacielem, a Basia to wspaniały człowiek, najofiarniejsza z ofiarnych, bezgranicznie dobra i serdeczna.

Ucieszone spotkaniem, wspólnie przygotowujemy legowisko z płyt i układamy się pokotem, ciasno, jedno przy drugim, aby ochronić się przed zimnem. Ktoś, bodajże Leszek, ma kurtkę, którą w szóstkę nakrywamy się z wierzchu. Nakrycie to przesuwa się bezustannie, ponieważ każdy ciągnie je w swoją stronę, wreszcie zapadamy w kamienny sen.

Przebudzenie nie jest przyjemne. Jestem tak zeszywniała i obolała, że nie mogę podnieść się o własnych siłach, Basia pomaga mi stanąć na nogi. Od razu jednak przystępujemy do działania, kombinując, jak tu wydostać się z obozu. Po paru godzinach zbierania informacji i rozmów, mamy już pewne osiągnięcia. Jurek i Leszek, jako ranni, zostali zapisani na listę i pojedą do szpitala pod Warszawą. Pojedzie z nimi również Wisia, najsłabsza fizycznie z naszej trójki. Ubieram Wisię w mój biały kitel i przy wydatnej pomocy uczynnych polskich pielęgniarek - zapisujemy ją jako sanitariuszkę, aby mogła towarzyszyć obu rannym. Po serdecznym pożegnaniu Wisia, Jurek i Leszek odjeżdżają do szpitala, a my z Basią wyruszamy na zwiedzanie obozu. Jesteśmy potwornie głodne, głód dosłownie skręca nam kiszkę. Gdzie by tu dostać coś do zjedzenia, zastanawiamy



się wspólnie. Jakoś niepostrzeżenie znalazłyśmy się pod barakiem kuchennym, z okna wychyla się pucołowata słowiańska twarz. Rosjanin rozgląda się bacznie dookoła, a potem pyta:

- Dziewuszki, a supu chatitie?

Kto by nie chciał zupy! Jesteśmy zachwycone propozycją; okazuje się jednak, że kuchcik nie może nam dać żadnego naczynia. Gdzie by tu zdobyć jakąś miską lub garnuszek?

W obozie garnuszek, łyżka, miska, to drogocenne przedmioty, których strzeże się jak oka w głowie. Nie ma więc nadziei, by ktoś zechciał nam je wypożyczyć. Zmartwione idziemy właśnie koło ogromnych dołów kloacznych, nad którymi leżą oparte na krzyżakach długie dragi, chroniące przed utonięciem w nieczystościach, kiedy dostrzegamy zagrzebaną w piasku puszkę po konserwach. Puszka jest zupełnie zardzewiała i zgięta z jednej strony, pewnie ją ktoś przydeptał. Podnosimy ją, oglądamy przez chwilę ze wstrętem, ale potem zapewniając się wzajemnie, że jest przecież jeszcze zupełnie dobra, a co najważniejsze - duża, biegniemy pod kran, żeby ją nieco odszorować piachem. Nasze starania nie przynoszą oczekiwanych rezultatów. Puszka jest tak przeżarta rdzą, że prędzej zrobimy w niej dziurę, niż ją odmyjemy.

- Jest już przecież czysta - wmawiamy sobie i biegniemy po zupę. Kuchcik dotrzymuje słowa, pyta tylko, czy w pobliżu nie widać „Germańca”, a potem nalewa aż po wręby wspaniałej pomidorowej zupy. Pijemy najpierw płyn podając sobie naczynie z rąk do rąk, potem palcami wyciągamy rurki makaronu. To było wspaniałe! Zaspokoiwszy nieco głód, podniesione na duchu, wracamy do naszej hali.

Właśnie ma się odbyć przegląd lekarski. Ludzie ustawiają się w długą kolumnę. Niemiecki lekarz w mundurze, wraz z polskim personelem, rozdzielają przesuwającą się do przodu kolejkę na dwa nurty: na prawo i na lewo. My trafiamy na prawo, do starców, chorych i rannych. Basia podaje się za chorą na gruźlicę,

ja mam górną część twarzy siną i zieloną, białka oczu natomiast czerwono-fioletowe, gdyż od wybuchu popękały mi w oczach naczynia krwionośne. Przeżycia ostatnich dni sprawiły, że obie wyglądamy niesamowicie. Wraz z panią Faryaszewską zostajemy skierowane do sali na pierwszym piętrze, gdzie mamy oczekiwać na transport do Szymanowa.

Panią Faryaszewską widywałam kilkakrotnie na Starym Mieście, ale poznałam ją dopiero poprzedniego dnia, w piwnicy na Kilińskiego 1, gdzie zastałyśmy ją dyżurującą przy rannej przyjaciółce jej córki Ewy. Ewa Faryaszewską wraz z ową koleżanką i jej mężem zabezpieczali staromiejskie zabytki (Kazimiera i Leszek Świderscy). Eksplodujący granat zabił Ewę, męża koleżanki, a ją ciężko ranił. Pani Faryaszewska, również ranna w nogę, zaopiekowała się dziewczyną i pozostała z nią w naszym szpitaliku, a potem towarzyszyła jej na Długiej 7.

Spotkana ponownie w Pruszkowie, pani Faryaszewską okazała nam wiele serca. Kiedy zostałyśmy tylko we dwie z Basią, podała nam adres swoich krewnych państwa Grochowskich, zamieszkałych w Pruszkowie przy ul. Drzymały 4, a potem wyciągnęła pieniądze i wręczyła każdej z nas po 500 zł, abyśmy miały na najpilniejsze wydatki. Później, przez cały czas naszego pobytu w obozie we Wrocławiu, utrzymywała z nami kontakt, pisząc karty, podtrzymując nas na duchu i przysyłając paczki, mimo że sama była w ciężkich warunkach materialnych, ponadto miała kłopoty z nogą, którą trzeba było operować. Jej też w dużej mierze zawdzięczamy powodzenie naszej ucieczki z obozu we Wrocławiu, ponieważ podała nam adresy swojej rodziny w Sosnowcu (państwa Strokowskich) i Krakowie, a oni w tej ucieczce okazali nam wiele pomocy.

Pani Faryaszewska została przez komisję zapisana na wyjazd na teren Generalnej Guberni. My z Basią oczekiwałyśmy na opuszczenie obozu w Pruszkowie przez wiele godzin. Było już późne popołudnie, kiedy kazano nam ustawić się w kolumnę. Nie-

stety, w tym momencie rozpadał się potworny deszcz. Woda ciekła strumieniami, jakby ktoś wylewał ją wiadrem na nasze biedne głowy. Przemoczone do gołej skóry, stałyśmy przed halą, tułac głowy w ramionach, jednakże na widok ojca z synkiem trzymających nad głowami miednice - ojciec dużą, a syn malutką - wybuchnęłyśmy niepohamowanym śmiechem.

W końcu zjawiała się siostra PCK z listą i poprowadziła nas do bramy. Tu nowa trudność - przepuszczono wszystkich z wyjątkiem mnie, gdyż nie miałam kennkarty (spłonęła wraz z kolegami na Drugiej 7). Basia, przyklepiona po drugiej stronie do ogrodzenia, dawała mi rozpaczliwe znaki, a ja nie wiedziałam co począć. Po pewnym czasie jednak udało mi się prześliznąć przez bramę. Pielęgniarka odprowadziła nas kawałek drogi, a potem puściła wolno. Ale gdzie tu się podziać? Zapadał wieczór, byłyśmy mokre, zmęczone, zziębnięte. Skierowałyśmy nasze kroki do RGO, gdzie w kącie sali, na słomie, spędziłyśmy tę pierwszą noc na wolności.

Rano przyszła córka pp. Grochowskich i zabrała nas do siebie. Tam spotkałyśmy się z panią Faryaszewską. Patrzyłyśmy zdumione na całe szyby w oknach, stół nakryty obrusem, noże, widelce, talerze - to był inny świat, który przestał dla nas istnieć, zdawało się przed wiekami. Wreszcie mogłyśmy się umyć. Przygotowano nam czyste łóżka.

Basia dostała temperatury, więc prędko skorzystała z zaproszenia i położyła się, ja natomiast poczułam się w obowiązku przynieść konewkę wody ze studni, gdyż p. Grochowska zaofiarowała się uprać nasze rzeczy. Niestety, siły opuściły mnie i aby nie upaść - przysiadłam na schodach. Za chwilę i ja znalazłam się w łóżku.

Na drugi dzień obudziłyśmy się bardzo późno. W czasie śniadania przybiegła sąsiadka z informacją, że Niemcy urządzili łapankę na warszawiaków, ulice są obstawione i kontrolują dom po domu. My, naprawdę chore, a do tego jeszcze oficjalnie

zwolnione z obozu, postanowiłyśmy zaryzykować i pozostać w łózkach. Zresztą byłyśmy tak zgnębione i zrezygnowane, że było nam wszystko jedno, co się z nami stanie.

Kiedy do mieszkania wkroczyli Niemcy, nie pomogły jednak żadne tłumaczenia. Basia miała warszawską kennkartę, ja nie miałam żadnych dokumentów, a sam nasz wygląd wskazywał, skąd przyszłyśmy. Trzeba było wstać, ubrać się i podążyć za Niemcem, który nas oczekiwał.

Pani Grochowska zdążyła nas przyodziać w jakieś letnie sukienki, zrobiła zawiniątko z prowiantem. Kiedy znalazłyśmy się w punkcie zbornym, przybiegł jeszcze p. Grochowski i przyniósł mi swoją kurtkę. Niejednokrotnie serdecznie wspominałam go, wdzięczna za ten dar, gdyż ta kurtka stanowiła moją jedyną ochronę przed mrozem przez całą srogą zimę 1944-1945.

Znowu zaprowadzono nas do hal, podzielono na grupy i już nocą załadowano do wagonów towarowych. W naszym wagonie było czterdzieści kobiet w różnym wieku. Na drogę dostałyśmy po bocheneczku chleba i miseczkę marmolady na cały wagon. Drzwi za-ryglowano i przy akompaniamencie płaczu i krzyku pociąg ruszył w nieznaną. Na czwarty dzień dojechałyśmy do Wrocławia i wysiadłyśmy na bocznicy „Famo-Werke” Breslau.

*Poznań, dnia 27 stycznia 1977*

*Janina Gruszczyńska-Jasiak*

Z prawdziwą satysfakcją uzupełniam nasze relacje stwierdzeniem, że trzem rannym chłopcom od „Gustawa”, wyniesionym przez nas z oficyny domu przy ul. Kilińskiego 3, udało się wydostać ze Starego Miasta.

Jeden z nich zmarł w podwarszawskim szpitalu, dwaj pozostali natomiast: strz. Tadeusz Wegner ps. „Kruk” i kpr. Andrzej Duma ps. „Kresowiak”, przeżyli wojnę.

*Poznań, dnia 17 lipca 1994*